

BANG

K

O

K

stories

Lena Urbańska
Bangkok Stories

Copyright ©2023 Paweł Pajączkowski
All rights reserved.

pomysł: Lena Urbańska i Paweł Pajączkowski
kocepcja graficzna: Ewelina Wojtyczka
zdjęcia: Lena Urbańska
projekt graficzny: Ewelina Wojtyczka, Anna Pawłowska
skład: Anna Pawłowska
korekta: Katarzyna Tyszkiewicz-Borawska

itsbangkokstories.com

JAK KORZYSTAĆ Z EBOOKA

- * Ebook opisuje 60 miejsc.
- * Miejsca są podzielone na rozdziały:

NASZA DZIELNICA

STARE CENTRUM

DZIELNICE DO KTÓRYCH LUBIMY ZAGLĄDAĆ

WYCIECZKI

EKSTRAS

- * Każdy rozdział ma przyporządkowany kolor.
- * Na dole, w prawym rogu, na każdej stronie znajdziecie informację, gdzie aktualnie się znajdujecie.
- * Każda nazwa miejsca jest linkiem do mapy Google.

BKK ๑๓



ตำราพิชชญา

WSTĘP

Bangkok uczy dystansu, życia z przymrużonym okiem i umiejętności puszczenia oczka.

W każdy weekend chodziliśmy do tej samej kawiarni – nie dla kofeiny, a dla niekończących się rozmów z Mr. Pumpui, który, tak jak my, kocha Bangkok. Każdego ranka liczyliśmy warany, wylegujące się w słońcu pod naszymi oknami. Chodziliśmy do świątyni tuż przed zamknięciem, po to, żeby w ostatnich minutach zwiedzać je samemu. W drodze do domu łapaliśmy banana z grilla, popijaliśmy zimnym kokosem i jechaliśmy dalej. Staliśmy w palących żarem korkach, wypacając przy tym wiadra potu. Przesiadywaliśmy w restauracjach, w których czasami trzeba było przenieść swój stolik kilka metrów dalej, bo na naszym miejscu chciał akurat zaparkować samochód. Pływaliśmy łódką po

kanałach, którą dotrzeć można niemalże wszędzie i bez korków. Zamarzaliśmy w klimatyzowanych wagonach naziemnych i podziemnych kolejek, obserwując stylówki ludzi z całego świata. Jeździliśmy nocą po mieście. Jak w grze komputerowej, slalomami i skrótami, przecinaliśmy zakorkowane ulice. Dwa poziomy betonowych węży wiły się nad naszymi głowami, jakby chciały przejąć kontrolę nad miastem, a my pruliśmy dalej przez mosty i ulice na drugi koniec miasta, czasami bez celu, po prostu dla frajdy. Bo życie w Bangkoku to była dla nas jedna wielka frajda. Jakbyśmy zeszli z powagi i wieku. Jakbyśmy na nowo byli dzieciakami.

Uczyliśmy się życia na tutejszych zasadach. Chłonęliśmy luz, przyjmowaliśmy uśmiech, o który nie musisz się prosić, bo dostajesz go w pakiecie z uprzejmością. Uczyliśmy się tolerancji, którą wydawało nam się, że już posiadamy. Uczyliśmy się otwartości na to, co nowe. Braliśmy garściami to, co Bangkok oferował nam każdego dnia. Najlepsze jedzenie? Lekkość bytu? Nieprzewidywalność? Energię? Odwagę? Dystans do świata? Tak, ale też poczucie wolności, świadomość, że można inaczej, że jesteście wolni od narzuconych ram. Czułam, że tu się szanuje i akceptuje wszystkich takimi, jakimi są. Wiele osób mówiło mi, że mogą być tu sobą, że w końcu rozumieją, co to znaczy.

Kiedyś myślałam, że osoby, które zostają tu na dłużej, decydują się na przeprowadzkę głównie ze względu na to, że jest tanio. Owszem jest, w dodatku dobrze. Ale dziś już wiem, że tu chodzi przede wszystkim o komfort. Tajlandia jest trochę

jak szwedzki bufet. Masz wybór, nieograniczoną ilość, każdy może skomponować coś dla siebie, zaszaleć, spróbować czegoś nowego, a to wszystko dostępne jest na jednym stole. Trochę jak wakacje *all inclusive*, tylko biuro nie musi Ci organizować wyjazdu, bo wyjazd organizuje się sam – po prostu płynie. Chcesz wynająć skuter? Możesz to zrobić w 10 minut i za 10 zł za dzień. Chcesz pojechać na wyspę? Masz samolot, autobus, pociąg albo taksówkę, która zawiezie Cię do celu. Chcesz zjeść? Zjesz wszędzie i o każdej porze. Tajlandia tak wyspecjalizowała się w turystyce i obsłudze, że tu nie ma rzeczy niemożliwych. Tu panuje mentalność „can do”, a nie “can not do”. To miasto jest *easy going*, tak jak jego mieszkańcy. Nie widzisz sprzeczek, przepychanek, wyzwisk i krzyków.

My to nazywamy buddyjskim kapitalizmem.

Po trzech miesiącach w BKK stwierdziliśmy, że była to jedna z najciekawszych podróży, jakie odbyliśmy. A przecież była to „podróż w miejscu”. Dowiedzieliśmy się o Tajlandii więcej, niż przez ostatnie 10 lat. Daliśmy sobie i miastu czas, żeby je zrozumieć. Mogliśmy w końcu zwolnić, poobserwować, posłuchać i porozmawiać.

Nie o atrakcjach czy najlepszych wyspach, tylko ogólnie o życiu, jak z ziomeczkami z podwórka. Zaczęliśmy rozumieć kulturę, na którą składa się znacznie więcej, niż tylko świątynie i kuchnia. Ta podróż otworzyła nam głowy, wpłynęła na gust,

a nawet plany na przyszłość. Jesteśmy dzięki niej odważniejsi. Aż ciśnie mi się na usta zdanie: „Nie wiesz, co ze sobą zrobić, pojedź do Bangkoku, to miasto otworzy Cię na inne myślenie”.

Piszę tu o tym, co dobre i o tym, co mnie tu zachwyca. Dlatego nie znajdziesz tu drugiej strony – krytyki rządu, informacji o tym, jak skorumpowanym krajem jest Tajlandia, o kilkudziesięciu zamachach stanu, o najbogatszym monarsze na świecie, o tym, z jakimi problemami muszą mierzyć się ludzie każdego dnia. O smogu i kolorach przykrytego zanieczyszczeniami nieba. Tu skupiamy się na ludziach i miejscach, które tworzą.

„Bangkok Stories” to bardzo subiektywny zestaw informacji i wrażeń. ✨

SPANIE



Trzy propozycje: mieszkanie, hostel i apartament. Wszystkie w „naszej dzielnicy”, bo to gdzie mieszkasz, gdzie się budzisz i to, jak zderzasz się codziennie z miastem to podstawa. Chcesz wyjść, złapać kawę i bez większego zastanowienia wiedzieć, w którą stronę iść. Ulice mają Cię same prowadzić. W ciągu dnia eksplorujesz, jedziesz kawałek poza miasto, wycieczki, rowery, markety, zakupy. Na koniec dnia padasz z wrażenia lub zmęczenia i chcesz odpocząć. Dlatego tak ważne jest, aby zaczynać i kończyć tam, gdzie czujesz się najlepiej, w końcu to Twój tymczasowy dom. ✨

tamni hotel



Kiedyś w poszukiwaniu wegańskiej knajpy, w bocznej uliczce, między zabytkową stacją kolejową Hua Lamphong a stacją metra, wpadliśmy na dwa wyróżniające się budynki. Betonowo–tekowa elewacja porośnięta pnącą roślinnością. Ciepłe światło, które wieczorem zaprasza do środka. Czy to jest hostel? A może hotel? Wygląda trochę jak japoński butik. To dom z wieloma pokojami, w którym wita i zagaduje Cię uśmiechnięty recepcjonista. Trochę Brooklyn, trochę Bali, wszystko zgodnie z trendami. Przy wspólnym stole młodzi z całego świata popijają tajską latte na lodzie. Nie zdziw się, jak któregoś dnia wpadniesz w hallu na siedzących przed sztalugami artystów. Ze słuchawkami na uszach będą malować jakieś pejzaże. W TAMNI często odbywają

się warsztaty, także schodząc na śniadanie do otwartej kuchni, w której słońce wpada prosto na Twój talerz, możesz załapać się na naukę jakiegoś rzemiosła. Obok, drugi budynek – APT476, w którym możesz wynająć apartament o świetnym wnętrzu lub pójść na klasyczny tajski masaż. Panie powitają Cię naparem z trawy cytrynowej, zapytają o preferowaną moc nacisku i uszkodzenia w ciele, a na koniec pożegnają Cię słodką kulką kokosową.

Świetne miejsce na jedną noc, na cały tydzień i na każdą kieszeń. Pokoje wieloosobowe, prywatne i apartamenty.

Uliczkę obok: wegańska knajpka [Ruyi vegetarian](#). ✨

BANGKOK STORIES * IT'S BANGKOK STORIES * IT'S BANGKOK



baba mama



Na zewnątrz zaczepiają Cię dwa śliniące się psy. Rozglądasz się za właścicielem, po czym zaczynasz je głaskać. Można by pomyśleć, że są wyszkolone, żeby przyciągnąć Twoją uwagę. Tymczasem mordeczki chcą się tulić, no i przy okazji sprawdzają, czy nie masz czegoś do jedzenia. Nagle drzwi otwiera właściciel, a Twoim oczom ukazuje się ni to kawiarnia, ni to stara chińska apteka, trochę domowy salon. Bo na środku przed wielkim telewizorem siedzi mama i albo ogląda jakiś film, albo podlicza rachunki. Są też dni gierki komputerowych, ale to już nie mama, tylko syn – właściciel, pyka na komputerze. Rodzinny biznes. Poza domowym klimatem, dostaniesz tu przede wszystkim świetną kawę. Nikt się nie spieszy,

żeby obsłużyć jak najwięcej klientów, tu każda kawa przygotowywana jest z uwagą i cierpliwością. My wybieramy klasycznego dripa, którego moc czujesz z każdym kolejnym łykiem.

A jeśli na zimno, to koniecznie – *ice americano* ze świeżym sokiem pomarańczowym. I nie mówię tu o jakim tam pomarańczowym smaku, on jest wręcz mandarynkowy, z niedowierzaniem pytasz trzy razy – czy przypadkiem pod stołem ktoś nie dosypał mu łyżki cukru... Nie, on jest taki naturalnie. A w połączeniu z goryczą kawy, doskonały. Nawet sąsiedzka – kumpelska konkurencja – Supha przychodzi tu na ten właśnie napój. ✨

JEDZENIE

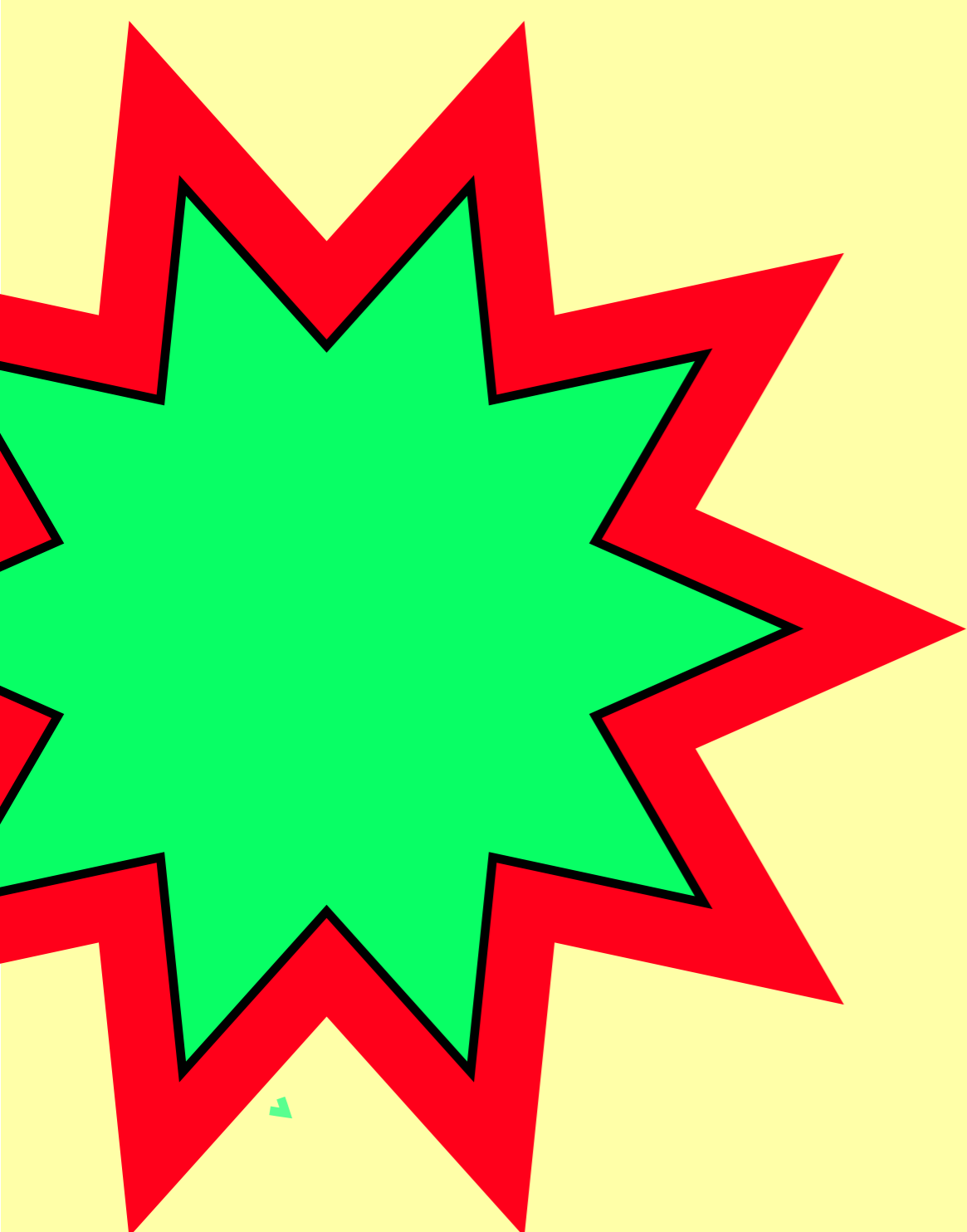


W Tajlandii je się non stop. Jedzenie jest do tego stopnia poważnym tematem, że zamiast „jak się masz?” na powitanie pada pytanie „kin khao reu yang?” (z taj.: „czy już jadłeś?”).

Jednak jak się nad tym zastanowić, za tym pytaniem kryje się znacznie więcej. Jeśli ktoś jadł, to znaczy że ma się dobrze, nie jest głodny, ma czas i pieniądze na posiłek, no, a skoro jest najedzony, to znaczy, że jest też szczęśliwy. Jedzenie opisuje też relacje międzyludzkie. Jeśli za kimś nie przepadasz, mówisz „mai kin sen”, co dosłownie oznacza „nie jeść makaronu”. Osobę, która ma władzę i szacunek w okolicy nazywa się „sen yai” czyli „duży makaron”. Do każdego dnia tygodnia przypisany jest inny rodzaj klusek:

poniedziałek to makaron ryżowy, wtorek smażony, środa jajeczny, i tak dalej.

Tu całe życie kręci się wokół gotowania, kupowania, spożywania i rozmawiania o jedzeniu. Pierwszy bezpośredni kontakt z Bangkokiem to zapachy. To one uderzają Cię w twarz i kręcą w nosie, na powitanie. Smażona wieprzowina, chili i czosnek unoszą się wszędzie w powietrzu. Wózki z jedzeniem uginają się od towaru, a nad palnikami bucha nieustannie ogień. Sprzedawcy smażą swoje specjały w wokach, wlewają zupy do plastikowych woreczków, kroją w rękę mango albo otwierają maczetami kokosy. Nieważne czy stoisz, idziesz czy jedziesz, wszędzie oddychasz tymi zapachami. Tu nie da się być głodnym, nawet nie zdążysz o tym pomyśleć. ✨





duck noodle house

Uwagę przyciągają wiszące w progu kaczki, no i szefowa. Zawsze na stanowisku, na swoim obrotowym fotelu, z trwałą na głowie, podmalowanym okiem i świecącymi z daleka pierścieniami na rękę. Zawsze coś sobie podjada, wydaje uwagi pracownikom i liczy pieniądze, które chowa do szufladki swojego biurka.

Pełna esencji zupka rozgrzewa w upalne dni i smakuje zawsze tak samo dobrze. Idealna na śniadanie albo lunch. Do wyboru pięć rodzajów domowego makaronu, kaczka lub gęś i podroby, dla tych co lubią. Wszystko podawane w zupie albo ze smażonym makaronem.

Jak długo serwujecie swoje popisowe dania z kaczką?

W tym roku moja restauracja obchodzi pięćdziesięciolecie, tymczasem ja będę celebrować 90 urodziny. Swój biznes otworzyłam dość późno, bo dopiero w wieku 40 lat, gdy już odchowałam ośmioro dzieci. W mojej rodzinie nikt dotąd nie prowadził restauracji.

Przeprowadziłam się wtedy do dzielnicy Talad Noi, gdzie wszędzie dookoła sprzedawano słynną i uwielbianą przez wszystkich *yen ta fo* – tajską różową zupę z makaronem, która swój odcień zawdzięcza sfermentowanej paście z soi. Spróbowałam wszystkich po kolei, po czym odważyłam się otworzyć swoje miejsce, ale nie kolejne z tym samym daniem, tylko z własną recepturą. Zaczęłam od smażonego makaronu z kaczką. Postawiłam na jakość produktów, zrobiłam tysiące prób, tworząc swój autorski przepis i szybko odniosłam sukces, bo nie miałam tu konkurencji, a danie jest wyśmienite.

Stołujemy się w Pani restauracji od lat, zawsze jest pełna, uwielbiana przez mieszkańców i turystów. Myślała Pani o otwarciu drugiego lokalu?

Lubię mieć wszystko pod kontrolą, początkowo moja restauracja mieściła się w naszym domu. To tutaj dość popularny model, mieszkasz na górze, pracujesz na dole, więc masz oko na wszystko. Sama przygotowywałam każde danie aż do 2020 roku, gotowałam tu przez 47 lat. Pracowałam niemalże codziennie i zamiast być zmęczoną, zawdzięczam swojej pracy to, jak dobrze się dziś czuję, jaka jestem sprawna i aktywna w wieku 90 lat. O drugim miejscu nie myślałam nigdy, nie mogłabym przecież przebywać w dwóch miejscach na raz!



A franczyza?

Oj nie, wtedy moi klienci rozchodziliby się po innych lokalach zamiast przychodzić do mnie! A tak przyjeżdżają z całego miasta, również ci, którzy wyprowadzili się na drugi koniec Bangkoku.

W Tajlandii jesteśmy wierni temu, co lubimy, przywiązani do swoich miejsc, do których zawsze wracamy.

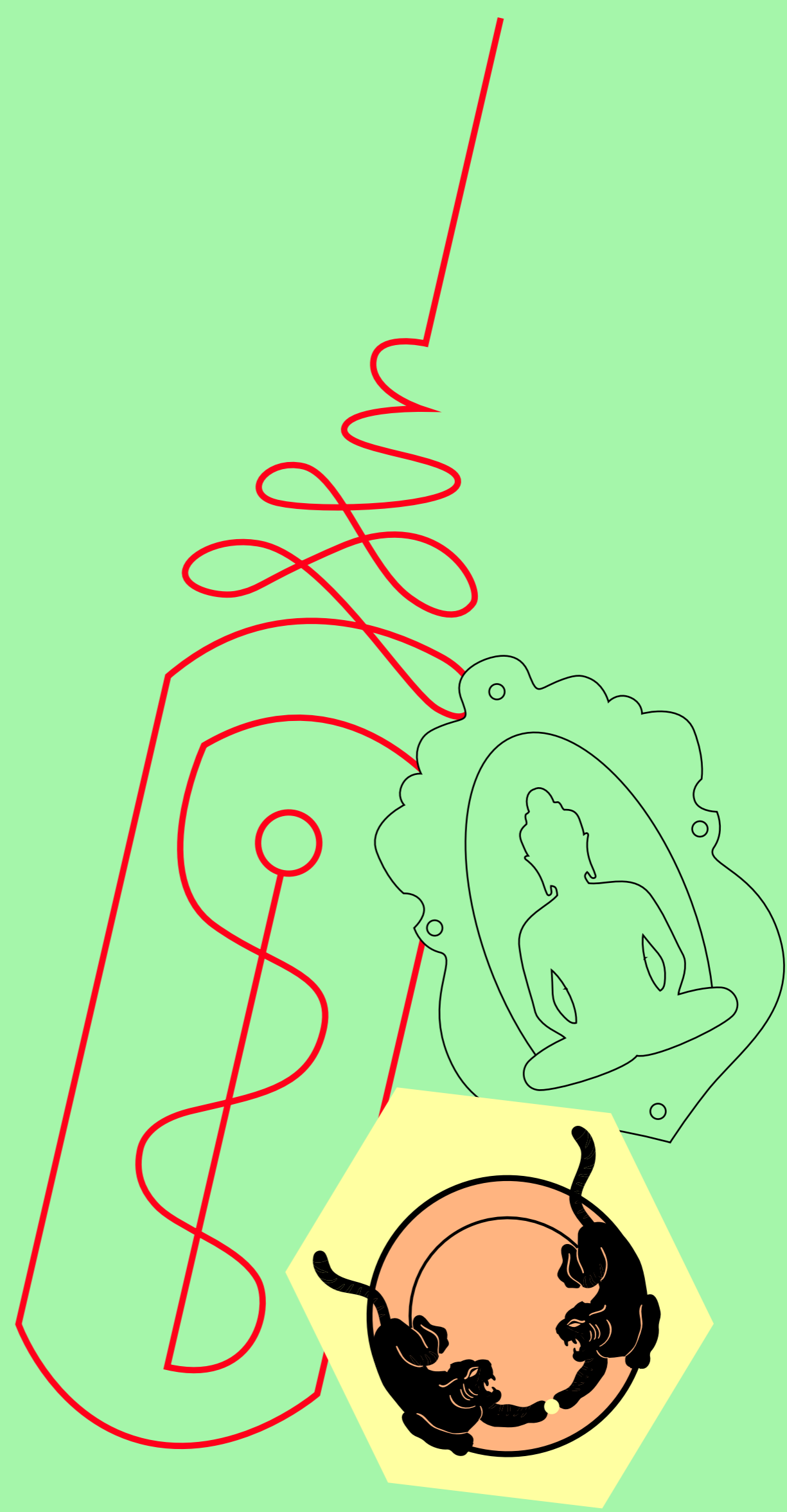
Na koniec rozmowy szefowa poczęstowała nas najlepszym przysmakiem, czyli kaczą szyjką do obgryzienia. I weź tu powiedz, że nie jesz mięsa.

Nie przegap, zamyka się codziennie o 15. ✨

THAIS DOING THINGS



ATRAKCJE



Jak wyglądają targowiska, na których mieszkańcy codziennie zaopatrują się w tradycyjne specjały i składniki na obiad? Gdzie Tajlandczycy szukają szczęścia i mocy? Czy świątynia to miejsce religijne, a może centrum edukacyjne? Co kryje się za masażową wizytówką kraju? Na czym polega tajska medycyna, która jest równie stara jak ta chińska? Galerie sztuki, przestrzenie do pracy, interaktywne muzeum z plastikowymi workami wśród eksponatów. Księgarnie dla konserwatorów i wiecznie żywy, otwarty całą dobę *market* z kwiatami. Gdybym miała powiedzieć, co z tych atrakcji trzeba zobaczyć, to powiedziałabym, że wszystko. To rozdział, który wiele mówi o tajskiej kulturze. ✨



amulet market

Podobno 70% Tajów nosi przy sobie co najmniej jeden amulet. Niektórzy mają ich tysiące. Amulety i przesądność są integralną częścią tajskiej kultury. Nie mogłam nie wpatrywać się w klatki piersiowe mężczyzn, którzy na szyjach dumnie nosili całą kolekcję swoich zdobyczy. Zawieszane na jednym łańcuchu, w równych odległościach, oprawione w ramie i szkiełku, wiszą jak obraz, ale na klacie. Podobno wierzący lubią nosić ich kilka, bo wtedy łączą się ich moce.

Mówienie, że są talizmanem albo że przynoszą szczęście to zdecydowanie za mało. Są noszone po to, aby chronić przed potencjalnymi niebezpieczeństwami i bólami, żeby przyciągać

wszystko, od dobrej passy finansowej po nowego partnera. Każdy amulet ma swoje przeznaczenie i inskrypcję, która dokładnie określa, do czego służy. Nazywasz potrzebę i znajdujesz taki, który da Ci odpowiednią moc.

Amulet Market w Bangkoku jest jednym z największych w Azji Południowo-Wschodniej. Znajdziesz tam setki, tysiące, nieskończone ilości, różne rozmiary, formy i funkcje amuletów. Zwykle są wykonane z gipsu, kości, drewna czy metalu. Większość jest produkowana masowo i kosztuje zaledwie kilka złotych. Kupuje się je najczęściej w świątyniach buddyjskich, jako pamiątkę i wsparcie kompleksu świątynnego. Mogą być wykonane ręcznie w świętym miejscu i/lub pobłogosławione przez mnicha. Mogą zawierać relikwię takie jak: popiół spalonego świętego tekstu, włos słynnego mnicha czy drobiny ruin świątyni. To wszystko sprawia, że moc amuletu jest bardzo silna... I cenna.

Market ciągnie się wzdłuż rzeki, można przypłynąć tu łódką, zjeść coś dobrego na miejscu i poobserwować poszukiwaczy amuletów, którzy ze szkłem powiększającym szukają wskazówek co do ukrytego znaczenia lub wartości talizmanu. Na markecie w dziale wróżbitów można dowiedzieć się też, jaka czeka nas przyszłość. ✨

EKSTRAS

ความพิเศษ

ความพิเศษ

Miejsca porozrzucane po całym mieście wyróżniam jako „Ekstras”. Są nie tylko dodatkiem, ale też ekstra przeżyciem. *Show* na szpilkach z *drag queen* w rolach głównych ośmieli najbardziej wstydliwych. Taras widokowy na 79 piętrze, z którego w ciągu dnia możesz podziwiać miasto, a po zachodzie słońca możesz tańczyć na nim disco. Spacer po parku, który jednocześnie jest starym chińskim cmentarzem, gdzie żywi grają w kosza albo podnoszą ciężary na siłowni. Albo świątynia Wat Arun, która zachwyca nie tylko budowlą, ale też salonikami stylizacji, dzięki którym na chwilę możesz stać się tajską księżniczką, albo księciem. Największy bazar spożywczy w mieście, sklep z odważną modą i nowoczesny park z obłędnym widokiem na rozświetlone miasto. ✨



house of heals

Wiedziałam, że występy drag queen i transpłciowych kobiet są bardzo popularne w Bangkoku. Po pierwsze, działa tu co najmniej 5 klubów, w których niemalże codziennie zobaczysz show na najwyższym scenicznym poziomie. Po drugie, w tajskiej telewizji od dobrych kilku lat, emitowane są programy typu reality show z drag queen w rolach głównych. Po trzecie, transpłciowość to bardzo powszechny temat w Tajlandii.

House of Heals to klub należący do Panginy Heals – niekwestionowanej gwiazdy sceny drag. Pangina jest znana na lokalnej, ale i azjatyckiej, brytyjskiej oraz amerykańskiej scenie dzięki programom telewizyjnym, w których jako Lady Gaga czy Mariah Carey zachwycała występami i poczuciem humoru. Za tym precyzyjnym makijażem, perukami,

cekinowymi kostiumami, sztucznym biustem, gorsetem i szpilkami o 10 centymetrach, kryje się młody mężczyzna – Pan Pan Narkprasert.

Klub znajduje się na 33 piętrze ekskluzywnego hotelu. Wjeżdżamy na górę, otwierają się drzwi windy, a przed nami wyrasta dwumetrowy pantofelek na niebotycznym obcasie. Dalej, neony, pióra, pantery, diamentowe staniki... Już na wejściu sporo się tu dzieje. W oddali bar, przy którym zaczyna zbierać się tłum. Przez mikrofon, perfekcyjnym angielskim wita nas Pan Pan, który występuje dziś w roli komentatora. Zapowiada show i występy Beyoncé, których będzie aż sześć.

Na rozgrzewkę pytania do publiczności z cyklu „z jakiego albumu pochodzi ta piosenka”. W nagrodę za udzielenie poprawnej odpowiedzi (i przekrzywienie pozostałych) osoba zwycięska otrzymuje „dick shoty”, które, przy dopingu publiczności, powinna wypić do dna.

Pan Pan leci taką serią żartów i komentarzy, że składamy się ze śmiechu, a Beyoncé zaczynają zgrabnie poruszać się po parkiecie i naśladować królową w przeróżnych strojach i utworach. Każda kolejna jest coraz lepsza. Jednej chciałam nawet dotknąć, żeby sprawdzić czy to nie oryginał. Perfekcyjna synchronizacja ust, perfekcyjnie wypracowane ruchy. Szpagaty w powietrzu i lądowanie na podłodze. Brakuje chyba tylko salta. Są takie emocje, jaja, krzyki i owacje, że pękam ze śmiechu i jednocześnie wzruszam się do łez. W przerwie, na rurze popisują się tancerki, zaraz wjeżdżają ochotnicy z publiczności. Nie zauważam, kiedy sama ląduje na podeście. Zdejmuję



buty i bez namysłu tańczę razem z nimi. Po chwili startuje druga część show, czyli występ wszystkich sześciu Beyoncé, w kusych jeansowych szortach w rozmiarach od XS do XXL. Pozamiatały scenę śpiewając „Crazy in Love”. Chciałabym, żeby ten wieczór się nie kończył. Nie pamiętam gdzie i kiedy czułam taką energię i wolność.

Po wyjściu zaczynam szukać informacji na temat Panginy. Czytam wywiady i żałuję, że sama o taki nie poprosiłam. Pan Pan opowiada w nich o swojej drodze na szczyt, o tym jak czuje się „magikiem, który czaruje ludzi iluzją kobiecości”. W innym wywiadzie mówi, coś co warto zapamiętać: „Słuchaj więcej. Celebryj swoją indywidualność, własne piękno i zrozum różnice innych ludzi. Nigdy nie przepraszaj za to, kim jesteś i kogo kochasz, ponieważ jeśli zaczniesz od „przepraszam”, sugerujesz, że robisz coś złego [17]. ✨



ok, bye.